

WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO
ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

Nr 3 (29) 2013

ISSN 2083-0823

963 7734 23 16

znajdź nas na
WOM facebook

Klerycy o Africae Munus
Podziękowania
Wspomnienie z Czerwonej Wyspy



DRODZY MISJONARZE I PRZYJACIELE MISJI!

„Powinniście nie tylko wspominać i opowiadać swoją chwalebą przeszłość, ale także budować nową wielką historię”
(Jan Paweł II).

Nie znajduję lepszej myśli przewodniej do tego wprowadzenia, w którym chcę dużo wspominać i przywoływać przeszłość.

Zanim to uczynię, krótka prezentacja „budowniczych” bieżącego numeru „Wiadomości Misyjnych”. Raz jeszcze, tym razem oczami kleryków Zgromadzenia Księży Misjonarzy, możecie spojrzeć na szlachetny kontynent afrykański i z tego drogiego kontynentu oraz sąsiednich wysp mamy dobre wiadomości od kilku misjonarzy.

Dziękuję klerykom za ich refleksje a autorom listów za świadectwa ich gorliwości, poświęcenia i twórczego wysiłku, by budować lepszy świat.

Czy trzeba być geniuszem, bohaterem, bogatym, by go budować? Dziewięcioletnia Żuzia to ujmujący i wzruszający przykład budowniczego ze szkoły serca.

Polecam kolejne wspomnienie księdza Bogdana Mordala, które nam przypomni, że misje w Afryce to także bardzo trudne, niepokojące, a nawet tragiczne sytuacje.

Redakcja:

ks. Stanisław Szczepanik CM

Agata Gruzła

kl. Kamil Wilk

Wydawca: Wydawnictwo Instytutu
Teologicznego Księży Misjonarzy
www.witkm.pl

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia

Księży Misjonarzy

ul. Stradomska 4

31-058 Kraków

tel.: 12 422 88 77 wew. 215

sekretariatmisyjny@misjonarze.pl
www.adgentes.misjonarze.pl

Lista wiernych przyjaciół to grono osób, które wyróżniam nie w kłuczu wielkości ofiarowanej pomocy, ale wierności „która wytrzymuje próbę czasu”.

„Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem...” (Koh 3, 1). Mój *czas* w Sekretariacie Misyjnym się kończy. Wyrażam szczerze podziękowanie współredaktorom „Wiadomości Misyjnych” (nazwiska przy końcu numeru) i życzę im oraz mojemu następcy – ks. Antoniemu Miciakowi – radosnej kontynuacji *budowania nowej wielkiej historii*. Ta, w której uczestniczyłem nie była wielka, zaledwie dziesięciomiesięczna, ale piękna i radosna w braterskim współtworzeniu – niech Bóg będzie uwielbiony za wszystkie obecności-spotkania, których doświadczyłem w przestrzeni Sekretariatu Misyjnego.

Księdzu Wizytatorowi Polskiej Prowincji Zgromadzenia Księży Misjonarzy dziękuję za decyzje, jedna z nich mnie dotyczy, które są hojną odpowiedzią na wezwanie Wielkiego Misjonarza Jana Pawła II: *W dziejach Kościoła bowiem rozmach misyjny był zawsze oznaką żywotności, tak jak jego osłabienie jest oznaką kryzysu wiary*. Moim współbraciom na terenach misyjnych dziękuję za współpracę z Sekretariatem Misyjnym, i życzę im i sobie, radości i gorliwości w głoszeniu Dobrej Nowiny o Chrystusie. Wam drodzy Przyjaciele Misji dziękuję za *nową świadomość: mianowicie, że misje dotyczą wszystkich chrześcijan*. W sensie geograficznym „znajdziecie” mnie na ostatniej stronie okładki „Wiadomości Misyjnych”, w sensie *duchowości komunii* nic się nie zmienia: łączy nas ta sama wiara, duch modlitwy i pasja, by *także budować nową wielką historię*. Ona zawsze jest wielka, jeżeli ją budujemy według następującej zasady: **„Fundamentu bowiem nikt nie może położyć innego, jak ten, który jest położony, a którym jest Jezus Chrystus” (1 Kor 3, 11)**. Módlmy się wzajemnie jedni za drugich, byśmy zawsze chcieli *budować nową wielką historię* na Jezusie Chrystusie i patrząc na naszą *przeszość* nie przestawali Mu dziękować za nią, bo wszystko w niej było niezасłużoną łaską i wielkim darem.

Pragnę zakończyć to wprowadzenie pierwszym zdaniem Jana Pawła II z encykliki „Redemptoris Missio”: *Misja Chrystusa Odkupiciela, powierzona kościołowi, nie została jeszcze bynajmniej wypełniona do końca*.

Ks. Stanisław Szczepanik CM
Dyrektor Sekretariatu Misyjnego

SEMINARZYŚCI ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY O ADHORTACJI BENEDYKTA XVI „AFRICAЕ MUNUS”



Kl. Paweł Kliszczak

Inkulturation w adhortacji apostolskiej Benedykta XVI „Africae munus”

Prawdziwym sprawcą inkulturacji jest Duch Święty, «który pomysłnie przewodzi dialogowi między słowem Bożym, objawionym w Chrystusie, a najgłębszymi pytaniami, jakie rodzą się w różnorodności ludzi i kultur. Te słowa Benedykta XVI z adhortacji posynodalnej „Africae munus” będą mottem dla rozważań osnutych wokół problemu Inkulturacji.

Definicja słowa inkulturation podkreśla dwie rzeczy: po pierwsze, że oznacza „zakorzenianie się” Dobrej Nowiny (Ewangelii) w różnych kulturach, korzystając jednocześnie z narzędzi tych kultur; po drugie – inkulturation to proces, a więc nie można oczekiwać natychmiastowego dokonania się tego zakorzenienia.

Według Nadzwyczajnego Synodu Biskupów w 1985 r. – inkulturacja to *wewnętrzne przekształcenie autentycznych wartości kulturowych przez ich integrację w chrześcijaństwie i zakorzenienie chrześcijaństwa w innych kulturach*. Warto przytoczyć jeszcze jedno ciekawe przedstawienie znaczenia inkulturacji Jana Pawła II z adhortacji posynodalnej „Ecclesia in Africa”. Zdaniem papieża inkulturacja ma dwa wymiary: z jednej strony oznacza wewnętrzne przekształcenie autentycznych wartości kulturowych przez ich integrację w chrześcijaństwie; z drugiej strony jest zakorzenieniem chrześcijaństwa w różnych kulturach. Dochodzi więc nowy aspekt inkulturacji – wymiana. Zachodzi ona między miejscową kulturą a Ewangelią. Kościół głosi Ewangelię różnym ludom czy narodom posiadającym swoją kulturę, ale też zaprasza do swojej wspólnoty kraje razem ze swoimi kulturami. Pluralizm kultur jest ogromnym bogactwem dla Kościoła. W parze z konkretną kulturą idzie specyficzny język, myślenie, sposób rozumienia świata czy drugiego człowieka, a wreszcie specyficzne patrzenie na wiarę, religię, patrzenie na Boga. Wszystkie te wymiary kulturowe pozwalają na nowo odczytać głębię i sens praktyk religijnych, modlitwy uwielbienia czy pozytywny wymiar przeżywania swojej wiary. Dla Kościoła zachodnio-europejskiego świadectwo Kościoła w Afryce jest niesamowitą nauką płynącą z wiary. Wraz z ogromną szansą jaka jest udziałem procesu inkulturacji istnieje również szereg zagrożeń i niebezpieczeństw jakim Kościół musi stawić czoła. Bardzo dużo terminów typowo chrześcijańskich nie istnieje w językach narodów, wśród których dokonuje się Ewangelizacja. Trzeba więc na nowo tworzyć pojęcia i nadawać im określony sens.

Na zakończenie przypomnę raz jeszcze słowa Benedykta XVI. Według niego to Duch Święty jest sprawcą inkulturacji; jest ona możliwa dzięki Trzeciej Osobie Trójcy Świętej. Bez świadomości o pomocy boskiej, przewyższającej ludzkie działanie, cały wysiłek inkulturacji krajów afrykańskich nie miałby sensu. Także ten artykuł i wszelkie inne rozważania byłyby jedynie pustym frazesem, pobożnymi życzeniami.

Kapłani, w adhortacji apostolskiej „Africae munus”

W posynodalnej adhortacji apostolskiej „Africae munus” papież Benedykt XVI zwrócił się między innymi do kapłanów, wzywając ich do świętości i zachęcając do jak najlepszego przeżywania swojego posłannictwa. Już sam tytuł adhortacji: „O Kościele w Afryce w służbie pojednania, sprawiedliwości i pokoju” – wskazuje na niezwykle ważną rolę Kościoła względem Afryki, a tym samym określa szczególne zadanie kapłanów, którym jest „służba pojednania, sprawiedliwości i pokoju”. Zatem kapłani pełnią służbę pojednania, wprowadzają sprawiedliwość i pokój żyjąc w zjednoczeniu z Chrystusem i promieniując Jego światłem, tzn. oddziałują na innych poprzez osobistą świętość. Takie stwierdzenie jednak, we współczesnym świecie może wydawać się absurdalne – jaki związek ma świętość z pojednaniem, sprawiedliwością i pokojem? Czy kapłan nie powinien dla osiągnięcia tych celów stać się raczej dyplomata, adwokatem i działaczem organizacji pokojowych? Myślę, że odpowiedzią na tego rodzaju zarzuty mogą być słowa samego papieża: *Uleganie pokusie stawiania się przywódcami politycznymi lub działaczami społecznymi byłoby zdradą waszego posłannictwa kapłańskiego i posługi wobec społeczeństwa*. Zamiast tego, papież wzywa do świętości i cytując św. Cypriana pisze o ofiarności i modlitwie, które są z nią nieodzownie związane.

W czwartym zdaniu rozdziału poświęconego kapłanom, papież zachęca księży posługujących w Afryce, aby stawali się „pasterzami według Serca Bożego”. To stwierdzenie, z pewnego względu wydaje mi się bardzo cenne, bo czasem nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nawet sami kapłani mają niejednokrotnie pewien kłopot z określeniem swojej tożsamości. Z kolei ci, którzy przygotowują się do kapłaństwa, tak jak ja, często sami już nie wiedzą, czy mają być znawcami sportu, filozofami, budowniczymi, artystami, czy specjalistami od wszystkiego. Wszystko to w ogóle wydaje się bardzo skomplikowane, niejasne i u niejednego kapłana i klerożyta może wywołać zawroty głowy!

Tymczasem papież używa bardzo prostego, lakonicznego wręcz wyrażenia: *Bądźcie «pasterzami według Serca Bożego»*. Z tych słów można wyciągnąć jeden prosty wniosek: tożsamość kapłana nie jest,

jak by się to nieraz mogło nam wydawać, czymś niejasnym, skomplikowanym, czy dwuznacznym. Wręcz przeciwnie, okazuje się, że tożsamość kapłana jest jasno określona – kapłan jest tym, który naśladuje Jezusa, jest «pasterzem według Serca Bożego». Dla mnie osobiście jest to niesamowicie optymistyczne i pocieszające stwierdzenie – otóż nie muszę już się głowić nad tym, kim i jakim mam być, jeśli chcę zostać księdzem.

Kapłan to po prostu «pasterz według Serca Bożego». Trzeba by to jednak jakoś rozwinąć – co to właściwie oznacza być «pasterzem według Serca Bożego». Tu też wydaje mi się, że odpowiedź nie jest aż taka trudna i skomplikowana. Być pasterzem według Serca Bożego, to znaczy ni mniej ni więcej, być jak najbardziej podobnym do Pana Jezusa. Skoro więc kapłan jest naśladowcą Jezusa, to aby określić jego tożsamość, trzeba po prostu popatrzeć na Pana Jezusa. Czym więc zajmował się Jezus w czasie swojej trzyletniej działalności? Nie zajmował się przecież wszystkim, nie był specjalistą od wszystkiego. Co więc robił Jezus? Otóż, jak na złość, Jezus przez całe trzy lata swojej działalności robił właśnie bardzo niewiele: On tylko się modlił. On tylko nauczał, tylko czynił znaki, tylko dawał świadectwo o głoszonych przez siebie słowach. Ale właśnie to „tylko” przyniosło największe owoce! Bo właśnie sztuka bycia pasterzem polega chyba właśnie na tym, aby robić tylko to, co robi pasterz.

Dla księdza, jak dla nikogo innego, Chrystus musi być po prostu najważniejszy. Tylko wtedy będzie on szczęśliwym księdzem skutecznie pełniącym swoją misję.

Kl. Jerzy Rutkowski

Nowa ewangelizacja w adhortacji Benedykta XVI „Africae munus”

Kościół wzywa nas dzisiaj do nowej ewangelizacji. Dotyczy ona całego świata, także do wciąż wzrastającego Kościoła w Afryce.

Pojęcie nowej ewangelizacji odmieniane jest w naszych kościołach przez wszystkie przypadki, ale czy tak naprawdę rozumiemy jego sens? Nowa ewangelizacja z pewnością nie niesie za sobą jakiejś no-

wej Ewangelii. Niesie między innymi nowe formy jej głoszenia. Zawsze jednak, aby Ewangelię móc głosić, trzeba ją najpierw przeżyć, a w tej dziedzinie metody nie zmieniły się od wieków i do życia Ewangelią nie dojdziemy inaczej niż przez ciągłe nawracanie się do Jezusa. *Sercem wszelkich działań ewangelizacyjnych jest głoszenie osoby Jezusa, wcielonego Słowa Bożego* – pisze papież Benedykt. Głoszenie Ewangelii przyjętej rozumem czy wyuczonej na wykładach nie jest prawdziwym głoszeniem Chrystusa. Królestwo Boże rozszerzają ci, którzy dają świadectwo o swojej własnej wierze, a nie opowiadają regułek. Ewangelia to w dosłownym znaczeniu „dobra nowina z pola walki”. Wojna, którą toczyliśmy jest czasem bardzo trudna i nie składa się z samych wygranych bitew, a może nawet zaczynać się od wielu porażek. Dzięki tej wojnie, w której odnosimy już jakieś małe zwycięstwa i wciąż pniemy się do góry, w kierunku Jezusa, jesteśmy w stanie nieść pociechę cierpiącym i utrudzonym, a także wskazywać im cel.

Jest jeszcze ważniejszy aspekt nowej ewangelizacji niż nowe metody głoszenia. Nowa ewangelizacja musi oznaczać przejście od podtrzymywania istniejących w Kościele struktur do głoszenia autentycznego Chrystusa z wyobraźnią otwartą na potrzeby danej epoki, z sercem otwartym na działanie Ducha Świętego i w formie jak najlepiej pozwalającej przekazać i nauczyć tego, co najważniejsze. Oddzielić ziarno Ewangelii Jezusa Chrystusa od plew ludzkich przyzwyczajęń, przestarzałych nawyków i form – oto zadania nowej ewangelizacji.

Nowa ewangelizacja ma uczyć nas otwartości na powszechność Kościoła. Duch misyjny, wyrażający się także w podejmowaniu misji ad gentes, prowadzi do postawy otwartości i do patrzenia na ewangelizację z szerszej perspektywy. Można więc powiedzieć, że nowa ewangelizacja paradoksalnie nie jest niczym nowym, lecz po prostu powrotem do źródeł Kościoła: do miłości jaka ożywiała apostołów i do otwarcia na Ducha Świętego. Nowej ewangelizacji nie będzie bez odnowienia relacji z Chrystusem i rozpalenia na nowo gorliwości i miłości w sercach chrześcijan.

Seminarzyści w adhortacji apostołskiej „Africae munus”

Lektura rozdziału poświęconego seminarzystom w adhortacji apostołskiej papieża Benedykta przypominała mi że podstawą formacji kleryków w Afryce (ale oczywiście, że nie tylko tam ale i na całym świecie) jest formacja intelektualna, duchowa a także ludzka. Szczególnie dla naszych afrykańskich braci ważne jest w formacji właściwe zrozumienie ich własnej kultury, a także nie zamykanie się we własnych grupach etnicznych. Na pierwszym miejscu stoi jednak nawiązanie bliskiej relacji z Jezusem. To od tej relacji zależy formacja alumnów a także ich późniejsza praca duszpasterska. Każdy z kleryków ma żyć na co dzień Ewangelią i dać się jej prowadzić. To ona ma być drogowskazem jego życia.

Bardzo podoba mi się kolejny aspekt, na który papież zwraca uwagę. To życie wspólnotowe, często lekceważone, a mające jednak olbrzymi wpływ w formacji kleryków a także późniejszej pracy apostołskiej. To właśnie czas spędzony w seminarium ma wytworzyć więzi braterskie, bliskie relacje z współbraćmi w drodze do kapłaństwa, a potem w samym kapłaństwie. Od tego również zależy jakość pracy duszpasterskiej. Olbrzymia odpowiedzialność, jak pisze papież spoczywa na wychowawcach, na biskupie, czyli na osobach, które towarzyszą kandydatowi w drodze do święceń i decydują o tym, czy dany kandydat może te święcenia przyjąć. Pod koniec Ojciec Święty jeszcze raz podkreśla znaczenie tożsamości kapłańskiej. Każdy kapłan musi być pewien tego co robi, kogo głosi, musi wiedzieć jaka odpowiedzialność na nim ciąży.

Papież zachęca nas seminarzystów do jak najlepszego przeżywania i wykorzystywania czasu w seminarium. Zachęca do nieustannego pogłębiania wiedzy, rozwoju naszych relacji z ludźmi, ale przede wszystkim przypomina o tym fundamencie jakim jest przyjaźń z Jezusem. Od tej przyjaźni zależy życie i działalność kapłanów. Ta więź ma być cały czas podtrzymywana i umacniana. Bez tego staniemy się głosicielami samych siebie i karierowiczami.

„WIERNOŚĆ TO MIANO MIŁOŚCI, KTÓRA WYTRZYMUJE PRÓBĘ CZASU”

Ta definicja wierności najlepiej charakteryzuje grupę przyjaciół misji, którzy w okresie mojego „urzędowania” (wrzesień 2012 – maj 2013) wiernie wspierali Sekretariat Misyjny.

W imieniu misjonarzy oraz sekretariatu składam Wam serdeczne *Bóg zapłać*. Niech Chrystus, który wszystkich nas wzywa do bycia Jego świadkami, wynagrodzi Waszą miłość, „która wytrzymuje próbę czasu”.

Ks. Stanisław Szczepanik CM

Andrzejewska Sylwia – Sieradz
Brdej Katarzyna – Limanowa
Dziok Tadeusz Paweł – Jasło
Katarzyna Gawda – Kraków
Gdula Piotr Jerzy – Kraków
Goźlińska Wanda Anna – Jędrzejów
Jagódka Radosław – Grodków
Klatecka Bożena – Krzeszowice
Kołodziej Czesław – Subkowy
Lasoń Magdalena – Wrocław
Lazar Sławomir – Rogów
Mirek Janina – Wrocław
Młynarski Łukasz Dominik – Sarzyna
Nowina-Rer Joanna – Pabianice
Nowotarski Michał – Kraków
Podgórska Wirginia – Opole
Rowicki Andrzej – Brwinów
Rusin Teresa – Kraków
Szczepański Sławomir Stanisław – Janów
Strońska Kinga – Wrocław
Tabaj Michał Jan – Kraków
Uroda Katarzyna – Kraków
Wąchała Krystyna – Sopot
Węglarz Dariusz Marek – Gdów
Wrona Seweryn – Kraków



„EWANGELIZACJA IDZIE POWOLI...”

Fort Dauphin, 18 IV 2013 r.

Drogi Księżu Stanisławie oraz Wy drodzy Przyjaciele naszej misji. Na początku przesyłam serdeczne życzenia Wielkanocne, niech Jezus Zmartwychwstały będzie naszą mocą i nam błogosławi na co dzień.

Już dawno powinienem napisać, ale zawsze człowiek znajdzie jakieś usprawiedliwienie na zaległości w korespondencji – najczęściej jest to jednak ogrom pracy misyjnej.

W kraju duży bałagan polityczny i ekonomiczny, już cztery lata nie ma normalnego rządu, jest dużo band zbójceckich, napadają na wioski i mniejsze miasteczka; palą, zabijają, kradną, jednym słowem – na prawdę „dziki” kraj.



Młodzież przed domem proboszcza w Soanierana.
Dziękujemy serdecznie wszystkim Ofiarodawcom!

Serdecznie dziękuję za pomoc materialną na realizację zakupu agregatu prądotwórczego, jest on przeznaczony do parafii Soanierana do kościoła i domu księdza. Jest to Honda 4000. Jak na razie dobrze pracuje, tylko od czasu do czasu trzeba dolewać benzyny; resztę pieniędzy przeznaczyłem na budowę kościoła w Andramaka, na zakup blachy. Serdecznie dziękujemy.

Szczególnie tu na południu Wyspy ewangelizacja idzie bardzo powoli. Już ponad 110 lat jak pracują tu misjonarze, a ludzi ochrzczonych w naszej diecezji jest może około 20%. Bardzo często jestem w terenie pomiędzy Soanierana i Ranomafana, natomiast mieszkam w domu prowincjalnym w Fort Dauphin, gdzie pomagam trochę w nowicjacie. Lat przybywa i obowiązków też. W Soanierana mamy 10 kościołów, a w Ranomafana – 27. Na terenie całej Wyspy pracuje około 80 Polaków, ale nas ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy jest tylko 5 – było nas 24. Od 1970 roku Polacy ze Zgromadzenia pracują na południu Wyspy.

Jeszcze raz serdecznie dziękujemy. Polecam się Waszej pamięci, a szczególnie modlitwie i Was też o niej zapewniam. Szczęść Boże.

Ks. Kazimierz Bukowiec CM



Budowa kościoła w Andramaka. Dziękujemy!

„WIERZĘ MOCNO W ŚWIĘTYCH OBCOWANIE”

Wspomnienie ks. Marcina Wiśniewskiego o zmarłych Konfratrach pracujących na Madagaskarze

Po Konwencie Generalnym w 1969 r. przyjechał z Rzymu ks. Wizytator Franciszek Myszka i opowiadał nam, że bp Pierre Zevaco z ówczesnym wizytatorem z Madagaskaru zwrócili się do Prowincji Polskiej z prośbą o misjonarzy na Madagaskar.

Pierwszym, który się zgłosił był **ks. Hubert Sinka**, który wcześniej pracował 8 lat w Brazylii. Spotkałem go w Krakowie na Stradomiu i wywarł on na mnie ogromne wrażenie, promieniując wielkim entuzjazmem misyjnym. W tymże samym roku wyjechał do Paryża na naukę języka francuskiego. W 1970 r. przybył na Madagaskar i po nauce języka malgaskiego w Ambositra, w 1971 r. został wysłany na placówkę w Ranomafana do pomocy konfratrowi francuskiemu ks. Pierre Hugon. Ponieważ ten sektor misyjny obejmował dwa okręgi Ranomafana i Manantenina, na Boże Narodzenie przeniósł się na stałe do Manantenina.



W ówczesnych czasach diecezja Fort-Dauphin była podzielona na dwa sektory: sektor hiszpański obsługujący region Antandroy i sektor francuski Anosy. Polacy zapoczątkowali nowy sektor w obrębie regionu Anosy. Misja Manantenina została założona w 1956 r. przez naszego konfratru ks. Josepha Hertz. Ja przybyłem do Manantenina w 1973 r., aby pomagać ks. Hubertowi. Mieszkalem jeszcze w dawnej plebanii, ale nowa już była w budowie i została ukończona na Święta Bożego Narodzenia. Zaraz po świętach biskup Zevaco razem z wizytatorem ks. Gonzague Danjou poświęcili ten dom, który stał się domem kanonicznym dla polskiego sektora i ks. Hubert Sinka został zamianowany pierwszym superiorem tego domu. Do tego domu należała wówczas misja w Ranomafana i w Manantenina, a z czasem dołączyły inne misje: Amboasary, Tsivory, Soanierana. Ten dom kanoniczny istniał do roku 2005 i w tymże roku został przyłączony do

Domu Prowincjalnego w Fort-Dauphin zwanego Marillac. Wspomnienie, jakie będę miał na zawsze o ks. Hubercie, to przede wszystkim wspaniały Konfrater, bardzo towarzyski. Co do pracy duszpasterskiej dał mi wolną rękę. Za radą ks. biskupa Zevaco, podzieliliśmy sektor na dwie części. Byłem odpowiedzialny za Ampasimena i jej okolice. Ks. Hubert połączył dwa pirogi i na ich złożeniu założył motor Merkury. Tylko jeden raz pojechałem z ks. Hubertem tą jego łódką do Ampasimena rzeką Manampanihy. Pokazywał mi wówczas miejsca, gdzie są kamienie i trzeba je omijać.

Wspomnienia z podróży tą łódką należą do moich najlepszych wspomnień. Za ks. Huberta byłem też i kucharzem. Dobrej kuchni malgaskiej nauczyła mnie Mme Pascaline, była to pół-Francuzka pół-Malgaszka. A kuchni francuskiej nauczyła mnie Mme Marchessaux. W tym czasie w Manantenina było Biuro Francuskie Badań Geologiczno-Kopalnianych. Mme Marchessaux była żoną dyrektora tego Biura. Najlepsze danie, jakiego mnie nauczyła, to były langusty podpalane z majonezem. Ks. Hubert lubił dobrą kuchnię i kiedy mu przygotowałem langusty zachwycił się mówiąc: „niebo w gębie”. Ja też do tej pory, kiedy jem dobre rzeczy, powtarzam słowa ks. Huberta „niebo w gębie”. Pan Bóg jest tak dobry, że raczy misjonarzy wspaniałymi rzeczami. Ks. Hubert nauczył mnie też wspaniałego napoju brazylijskiego: pół szklanki białego rumu, plasterek cytryny, kilka kostek lodu i dla tych, co lubią cukier – szczyptę czerwonego cukru z trzciny cukrowej. Kiedy wracałem z buszu, ks. Hubert częstował mnie tym wspaniałym napojem, po którym odchodziło wszelkie zmęczenie. Kiedyś pamiętam, wróciłem z biskupem Zevaco z Ampasimena, w drodze popsuł się nam motor i wiosłowaliśmy przeszło 25 km. Byliśmy mocno zmęczeni, ale po tym napoju zmęczenie zupełnie odeszło.

Pewnego dnia Państwo Marchessaux zaprosili nas na kolację. Mieszkali oni wówczas przy samym brzegu Oceanu Indyjskiego. Wtenczas były u nas siostry seminarzystki razem z Dyrektorką i jej towarzyszką. Pojechaliliśmy wszyscy na kolację. Raczyli nas samymi wspaniałościami, „niebo w gębie”. Po tej uczcie wyjechaliliśmy naszym Volkswagenem, a seminarzystki Land-Roverem biura. Ponieważ było ciemno, wpadliśmy wszyscy w wielkie błota i nie mogliśmy wyjechać. Trzeba było, aby pan Dyrektor wysłał specjalny Mog do wy-

ciągania naszych samochodów. Oczywiście, że nas wyciągnęli, przy wielkiej atmosferze śmiechu i radości.

W 1974 r. z nowym rokiem szkolnym ks. Hubert został mianowany Dyrektorem Małego Seminarium w Farafangana. To seminarium służyło dla 3 diecezji: Fort-Dauphin, Farafangana i Jhosal. W 1975 r. zastąpiłem ks. Huberta na urzędzie superiora. Ks. Hubert był bardzo ceniony i aż do tej pory wspominany jest przez swoich wychowanków. Po kilku latach został przeniesiony do Fort-Dauphin i jest założycielem Małego Seminarium w tym mieście. Kiedy dostał pomocnika, odczuł, że jego misja nie jest tak potrzebna jak kiedyś i zdecydował się wyjechać z Madagaskaru. Po dwóch kolejnych misjach powrócił do swojej pierwszej miłości misyjnej, do Brazylii.



Ks. Stanisław Wnuk był moim kolegą kursowym. Jako diakoni w 1970 r. zgłosiliśmy się razem na misje. Wspomnę, że zgłosiliśmy się we trójkę, oprócz nas był ks. Stanisław Baran. Razem, przez cały rok uczyliśmy się języka francuskiego u pani prof. Grelichowskiej. Ks. Wizytator Myszka obiecał wysłać co roku po 2 misjonarzy na Madagaskar, a więc musiał dokonać wyboru. Postanowił, aby ks. Stanisław Baran ze względów zdrowotnych pozostał w naszej Ojczyźnie, ale muszę powiedzieć, że miał cały czas ducha misyjnego. Modlił się za nas, ofiarował swoje cierpienia, a gdy przyjeżdżaliśmy na urlop, zawsze nas mile przyjmował. Ciekawe, że odszedł do Dobrego Ojca miesiąc po odejściu ks. Stanisława Wnuka. Taka myśl przychodzi mi do głowy, że jeden drugiego pociągnął do Nieba.

Po święceniach, wyjechaliśmy 8 września 1971 r., w święto Narodzenia Matki Bożej, do Paryża. W Paryżu uczyliśmy się razem języka francuskiego na Alliance Française. Po kursie odbyliśmy w Lyonie miesięczny kurs medycyny tropikalnej. Staszka z tego czasu pamiętam, jako dobrego organizatora, np. gdy jechaliśmy do Rzymu, byłem spokojny, bo on wszystkim się zajmował, całym organizowaniem. Później, 11 października 1972 r., w święto Macierzyństwa Matki Bożej, wyjechaliśmy na Madagaskar. Razem uczyliśmy się języka malgaskiego w Ambositra. Po nauce, ks. Stanisław został wysłany do pomocy ks. Stefanowi Zajęcowi w Ranomafana. Spotykaliśmy się

później, kiedy był w Amboasary i Tsivory, przyjmował nas bardzo gościnnie u siebie. Spotykaliśmy się też na naszych zebraniach, które organizowaliśmy co kwartał, na innej misji. Ks. Stanisław był też dobrym kucharzem. Zachwycaliśmy się jego kuchnią. Później zamieszkał w naszym Domu Prowincjalnym Marillac, ponieważ go rozbudowywał i był odpowiedzialny za misję Ampasy oraz jako kapelan Sióstr Miłosierdzia. Jego pokój w domu Marillac był domem Polaków, czuliśmy się u niego, jak u siebie. Częstował nas zawsze herbatką, kawką, a od czasu do czasu też takimi wspانياłościami, jak np. krewetki z cebulką smażone na maśle. Tam mogliśmy się nadyskutować, tam realizowała się nasza Wspólnota polska. Był on takim naszym łącznikiem. Później odpowiedzialny był za misję w Soanierana. Na koniec został wysłany do Ranomafana. Pamiętam, rok przed jego śmiercią, odwiedziłem go z ks. Witoldem Oparcikiem. Przyjął nas bardzo mile. Przyjechaliśmy wówczas akurat na nabożeństwo z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Zdziwiłem się, ponieważ byłem 8 lat w Ranomafana i nie zdołałem przyciągnąć ludzi na takie nabożeństwa. Na tym nabożeństwie było bardzo dużo ludzi, a więc ks. Stanisław pokonał mnie swoją wytrwalością i zwyciężył. Pokazywał nam wówczas ogromne plantacje palmy kokosowej. On już wcześniej przy domu Marillac, posadził dużo kokosów i obecnie w domu Marillac mleko kokosowe stało się częstym napojem przy stole.

W 2012 r. z końcem kwietnia ks. Stanisław udał się pieszo na tournée do Fenoambany. W powrotnej drodze wszedł na jakiś kolec i od tego uklucia noga zaczęła mu puchnąć. Kiedy przyszedł do Ranomafana, powiedział: *Ja muszę jeszcze iść do Eminiminy*. Część drogi jechał samochodem, a ostatni odcinek musiał iść pieszo i przejść przez rzekę Manampanihy. Niektórzy mu odradzali, ale ks. Stanisław był bardzo sumienny i regularny w swoich wędrówkach apostołskich. Powiedział: *Ja tam oprócz Mszy św. mam obiecane chrzty i śluby*. I poszedł. Kiedy wrócił 30 kwietnia był już prawie nieprzytomny i siostry zawiozły go zaraz do Fort-Dauphin do szpitala. Odwiedzili go księża z Marillac, a szczególnie ks. Kazimierz Bukowiec. Zostało przy nim dwóch kleryków. Ks. Kazimierz zostawił go, mówiąc: *To wypoczywaj, jutro porozmawiamy*. Późnym wieczorem, ks. Stanisław zapytał się kleryków: *Czy jest Kazik?* Odpowiedzieli mu, że już po-

szedł do domu. Ks. Stanisław był spokojny, na nic nie narzekał, więc klerycy zdrzemnęli się i wczesnym rankiem, gdy do niego podeszli, osłupieli, że jest nieruchomy. Zawołali pielęgniarza, który stwierdził, że ks. Stanisław już nie żyje. W akcie zgonu było napisane: tężec, ale znając okoliczności śmierci, że zasnął spokojnie, domyślamy się, że powodem śmierci było zakażenie. Można dyskutować na ten temat, ale mnie się wydaje, że na jego odejście należy patrzeć tylko w świetle wiary. Bóg Ojciec powołał go do siebie w najpiękniejszym momencie jego życia, kiedy był najbardziej oddany misji, posłudze innym, zapominając o sobie. A więc mogę powiedzieć, że Staszek jest Męczennikiem Miłości. Jego przykład jest dla mnie wzorem do naśladowania. Jak już mówiłem, Staszek pociągnął drugiego Staszka do Nieba, ale mnie już nie mogą pociągać, tylko muszą pomagać i jestem przekonany o ich niezwyklej pomocy. Malgasje mają zakorzenioną wiarę w pomoc swoich przodków. A ja osobiście wierzę mocno w Świętych Obcowanie. Narodziny dla Nieba dwóch Staszków są dla mnie rzeczywistością wiary.

Odejście Staszka Wnuka było dla nas wielkim szokiem. Po otrzymaniu wiadomości, pojechaliśmy 2 maja w trójkę (ks. Oparcik, ks. Maszkowski i ja) z Farafangana do Fort-Dauphin. Ręka Dobrego Boga pozwoliła nam, że mogliśmy tę drogę przebyć. Wtedy były wielkie deszcze, droga była odcięta. W pierwszy dzień podróży dotarliśmy jedynie do Manantenina, skąd pojechaliśmy dalej. W Ankaramany most był zerwany. Ludzie pomogli nam go zreperować, ale najważniejszy był znak nieba, czyli to, że woda opadła tuż przed naszym przybyciem do tego miejsca. Około północy dotarliśmy do Antso i spaliliśmy w kościele. O godz. 5.00 rano wyruszyliśmy w dalszą drogę i przyjechaliśmy dokładnie do Fort-Dauphin o godz. 10.00. Udał się prosto do kaplicy, w której było wystawione jego ciało pod mustykiem. Popatrzałem na Staszka – nic się nie zmienił, wyglądał jak żywy. O godz. 11.00 była najsmutniejsza chwila, kiedy wkładali go do trumny. Ludzie z wiarą, zwłaszcza z Ranomafana dotykali tej trumny i widać było wielkie przywiązanie do Staszka. O godz. 13.00 została odprawiona Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem ks. bpa Vincent, było dużo księży i dużo wiernych. W czasie Mszy św. biskup wygłosił bardzo serdeczną homilię, można było wyczuć, że bi-

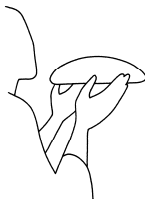
skup bardzo go cenili. Po Mszy św. przewodniczyłem z ks. Kazimierzem ceremonii ostatniego pożegnania i konduktowi pogrzebowemu z kaplicy do pobliskiego mauzoleum. W tym mauzoleum, po lewej stronie chowane są szarytki i jest już wiele miejsc zajętych. Natomiast po prawej stronie przewidziane jest miejsce dla misjonarzy. Staszek spoczął jako pierwszy po prawej stronie, na samym dole. Warto wspomnieć, że ks. Stanisław budował ten grobowiec.

Ks. Krzysztof Janusz przyjechał na Madagaskar w 1990 r. Po nauce języka malgaskiego w 1991 r. został wysłany do Ranomafana. Tak się złożyło, że ja wtedy wyjechałem do pracy w Wyższym Seminarium Duchownym w Fianarantsoa. Cieszyłem się, że właśnie zastąpił mnie ks. Krzysztof, bo był wspaniałym kontynuatorem naszej plantacji w Ranomafana. Po kilku latach



został przeniesiony do Manantenina i tam pięknie pracował. W końcu potrzebny był ekonom w naszej stolicy w Antananarivo. Znow, po kilku latach superiorem został mianowany ks. Danjou, dawny Wizytator i zazwyczaj sobie, że chce być równocześnie ekonomem domu. Ks. Krzysztof Janusz zrozumiał, że nie jest więcej potrzebny w tym domu i poprosił o wyjazd do Francji. We Francji zastąpił ks. Stawarskiego w naszym domu gościnnym w Vitry. Czuliśmy się tam, w ciągu naszych urlopów jak u siebie. Była podobna atmosfera jak w pokoju Staszka. Będę pamiętał na zawsze jego gościnność i to, że był bardzo towarzyski dla Konfratrów. Ostatnia droga jego życia nie jest dla mnie znana i na jego odejście patrzę też oczyma wiary. Dołączył do naszych orędowników, do dwóch Staszaków.

Jestem przekonany, że śp. ks. Hubert Sinka, śp. ks. Stanisław Wnuk, śp. ks. Stanisław Baran, śp. ks. Krzysztof Janusz pamiętają o naszej misji, pomagają nam, a przede wszystkim orędują za nami i proszę ich o nowe powołania kapłańskie i misyjne.



ks. Marcin Wiśniewski CM

MISJA - MADAGASKAR KS. MARCIN WISNIEWSKI

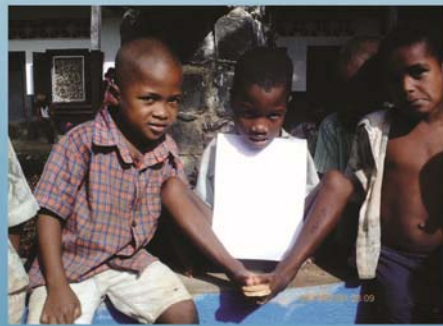
**DZIECI Z ZAKŁADU REHABILITACYJNEGO
PROWADZONEGO PRZEZ SIOSTRY SZARYTKI
W ANDEMAKA (FARAFANGANA)**



ks. Marcin wśród chorych...



postuga wśród chorych dzieci...



UROCZYSTOŚCI WMUROWANIA KAMIENIA WĘGIELNEGO DLA SZKOŁY KATOLICKIEJ W ANIVORANO



zaproszeni goście wraz z księdzem Wiśniewskim



miejscowy biskup



modlitwa biskupa



oraz ksiądz Marcin

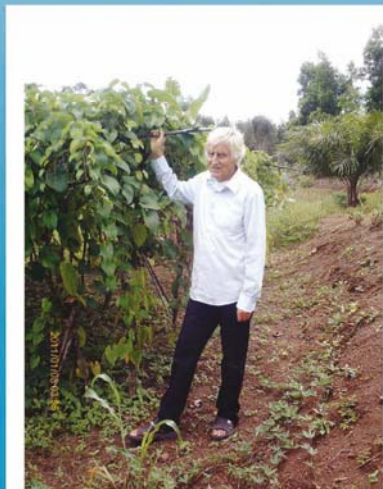




spotkanie ks. Marcina z gośćmi szkoły



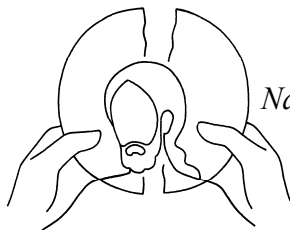
*chłopcy w ogrodzie
ks. Marcina w Antanarivo*



ks. Marcin Wiśniewski

KAPŁAŃSTWO

Kinszasa 1992



*Następnie wziął chleb, odmówiwszy dziękczynienie
połamał go i podał mówiąc: to jest Ciało moje,
które za was będzie wydane: to czyńcie
na moją pamiątkę! (Łk 22, 19)*

Ksiądz Bogdan przybył wkrótce do Kinszasy, aby objąć funkcję rektora i wychowawcy w domu formacyjnym Księża Misjonarzy, gdzie przygotowywało się do kapłaństwa grono młodzieńców. Wyzwanie było wielkie, gra warta świeczki. Po pierwsze, duchowieństwa brakowało niemal we wszystkich diecezjach Zairu: trzeba więc było corocznie wyświęcić na księży sporą grupę kandydatów. Na szczęście, tych ostatnich nie brakowało. Po drugie ks. Bogdan zadawał sobie wiele pytań, między innymi: jak sprostać zadaniu, do którego nie był zbyt predestynowany? Obawiał się, że może wpaść jak śliwka w kompot. Oczywiście, wiedział, że zaproponowane mu stanowisko jest tymczasowe. Dwóch innych konfratów właśnie studiowało w Rzymie, aby objąć funkcję formatorów w niedalekiej przyszłości. Lecz czy byli już na tyle gotowi? Jeden ze starych misjonarzy, ksiądz Wincenty, jasno mu kiedyś prorokował:

– Rektor scholastykatu nigdy nie pozostaje na swoim stanowisku zbyt długo. Ciebie też to dotyczy.

Scholastykat Księża Misjonarzy znajdował się około dwudziestu kilometrów od centrum miasta na wzgórzu o nazwie Kimwenza. Nazywano je również „świętym wzgórzem” z tego powodu, że mieściło się na nim wiele innych domów formacji, nowicjatów, scholastykatów i filozofatów należących do kongregacji zakonnych zarówno męskich jak i żeńskich. Parcela Księża Misjonarzy graniczyła z instytutem Jezuitów „Canisius”. Budynek były nowo wybudowane, obszerne i świeże. Pośród dwudziestu studentów teologii i filozofii sześciu odbywało akurat staż w parafiach (byli więc nieobecni). Jako

formatorów wydelegowano Beniamina i pewnego księdza Stanisława (zwanego potocznie Stano). Dwóch formatorów przypadało więc na czternastu studentów. Sytuacja całkiem do zniesienia. Studia jako takie zostały zorganizowane w sposób następujący: wykłady z teologii odbywały się w centrum miasta u Ojców Oblatów; jeśli zaś chodzi o filozofię, to dawano ją albo u Jezuitów tuż za murem, albo w położonym opodal „świętego wzgórza” instytucie św. Augustyna, który był konsorcjum wielozgromadzeniowym.

Formacja księży w Zairze trwa długo. Dłużej niż zazwyczaj w krajach półkuli północnej. Najpierw są dwa lata nowicjatu i prope-deutyki, następnie trzy lata filozofii, rok stażu w parafii i wreszcie cztery lata teologii. Daje to razem okrągłe dziesięć lat, żeby szczęśliwie dobrać do święceń kapłańskich.

– Trzeba mieć rzeczywiście mocną motywację, żeby dotrzeć do końca studiów – zauważył ks. Bogdan, zwracając się do księdza Stanisława.

– Tak, to prawda. Ale jest to niezbędne. Wiesz, że dobrze uformowani księża pod względem intelektualnym, duchowym i kultury osobistej są doceniani wszędzie, gdzie się udadzą – odparł ks. Stano. – A tak nawiasem mówiąc, złośliwe języki twierdzą, że dziesięć lat studiów, to i tak za mało, biorąc pod uwagę niezwykle słaby tutaj poziom nauczania w szkole podstawowej i średniej.

Mieszkańcy tego kraju wyobrażają sobie zazwyczaj, że jeśli kandydat wstępuje do jakiegoś domu formacji, to prędzej czy później, ale musi dotrzeć do święceń. Myślą, że jest to tak, jak z kobietą spodziewającą się dziecka: po dziewięciu miesiącach oczekiwania, dziecko musi się urodzić. Mało ważne, co kobieta robi, mało ważne, czy śpi, czy chodzi, pracuje, czy odpoczywa, śpiewa, czy tańczy, śmieje się, czy płacze. W każdym bądź razie dziecko musi ujrzeć światło dzienne w wyznaczonym terminie. A jednak, żeby zostać księdzem, sprawa nie jest taka prosta. Muszą zająć się trzy podstawowe warunki: po pierwsze, kandydat musi mieć powołanie od Boga (co jest bardzo trudne do stwierdzenia); po drugie, kandydat musi odpowiedzieć Bogu pozytywnie na swoje powołanie, musi wyraźnie wypowiedzieć swoje „tak”; po trzecie, władze kościelne muszą zaakceptować danego kandydata. Biorąc pod uwagę powyższe trudne warunki i poprzednie dziesięć lat studiów, przypadki „poronienia” zdarzają się, niestety, bardzo często.

To więc tutaj, w tym domu formacji na „świętym wzgórzu” w Kinszasie, ks. Bogdan dorzuci swoją cegielkę do ważnego dzieła formacji miejscowego kleru! W owym czasie, przebywało już w Kinszasie kilku diakonów, oczekujących na dzień swoich święceń.

– Chciałbym przy najbliższej okazji uczestniczyć w ceremonii święceń kapłańskich – zagadnął ks. Bogdan do swojego kolegi ks. Stano.

– A co, nie miałeś takiej możliwości poza twoimi własnymi święceniami w Krakowie? – odrzekł ks. Stano.

– Tylko jeden raz. To było przed kilku laty, jeszcze w Mbandace. Święcenia księdza diecezjalnego, niejakiego Bea, udzielane były przez biskupa Etsou. Obecnie Etsou został kardynałem tutaj w Kinszasie. Wiesz o tym?

– Oczywiście, że wiem. Nawiasem mówiąc, będziesz musiał mu złożyć kurtuazyjną wizytę. Wypada, żeby nowo mianowany rektor u misjonarzy odwiedził kardynała. Nieprawdaż?

– Z miłą chęcią, chociaż wiesz, że Kimwenza nie leży na terenie diecezji kardynała, lecz znajduje się już w Kisantu. Poznałem kardynała Etsou przed laty. Byliśmy wtedy jeszcze na północny w prowincji Equateur i spotykaliśmy się raz za razem. Etsou to bardzo gorliwy biskup, odważny, a przede wszystkim nieustrudzony duszpasterz. Jako następca wielkiego kardynała Maluli nie będzie miał łatwego zadania tutaj w Kinszasie, ale z pewnością sobie poradzi.

– Wspomniałeś o święceniach księdza Bea. Opowiedz, jak to było. Twoje doświadczenie może nam się przydać, skoro mamy się teraz zajmować formacją seminarzystów.

Ks. Bogdan rozsiadł się wygodnie w obszernym fotelu z ciemnobrązowego, twardego jak metal drzewa, zwanego tutaj „wenge”, i zaczął popijać popularny w stolicy napój chłodzący „Vitalo”. Opowieść popłynęła: Wszystko przebiegało według ustalonego rytuału. Znasz przecież melodię. Ceremonia odbywała się w kościele pod wezwaniem św. Piotra, który jest największym kościołem w Mbandace, a więc najlepiej się nadaje, żeby przyjąć tłumy ludzi przybyłych na święcenia. A tłumy były ogromne. Większość pochodziła z plemienia Ngombe, z którego wywodził się Bea. Msza święta, odprawiana oczywiście w rycie zairskim, rozpoczęła się od uroczystego wejścia biskupa, który na tę okoliczność nałożył, zamiast mitry, tradycyjne afrykańskie nakrycie głowy z małpiej

skóry, a w rękę trzymał, zamiast pastorału, włócznię, czyli symbol szefa plemiennego i obrońcy swoich poddanych. Diakon (kandydat na księdza) nie znajduje się w prezbiterium, jak to zwykle bywa, lecz od początku uroczystości siedzi w otoczeniu rodziny pośród wiernych. Podchodzi do biskupa dopiero w momencie samych święceń i jest mu zaprezentowany przez swoich najbliższych.

– Jak to? Został zaprezentowany przez swoją rodzinę? A ja myślałem, że Bea był sierotą – zauważył trafnie ks. Stano.

Po krótkiej przerwie ks. Bogdan kontynuował: Drogi przyjacielu! Żyjemy przecież w Afryce! Tutaj nie ma sierot, a zwłaszcza na prowincji. Jeśli jakieś dziecko straci rodziców, to natychmiast jest adoptowane przez kogoś innego, praktycznie bez żadnych formalności i papierkowej roboty. Faktycznie, Bea stracił swoich rodziców jako dziecko w czasie rewolty, jakiej doświadczał ten kraj w latach sześćdziesiątych, nie oznacza to wcale, że został porzucony przez wszystkich jak brudna skarpetka i skazany na smutny los. Odnalazło go pewne małżeństwo, zapłakanego i zabiedzonego i przygarnięto go jak syna. Ci, którzy go wychowali, stali się automatycznie jego przybranymi rodzicami. To właśnie oni uczestniczyli w święceniach i to oni zaprezentowali go biskupowi. Ale co ciekawe, Bea miał jeszcze inne rodzeństwo, lecz stracił z nim wszelki kontakt: każde z dzieci w tej wojennej zawierusze zostało przygarnięte przez inną rodzinę. Bea trafił po latach na ślad jednego ze swoich braci. I tutaj, uwaga! najlepsza część mojej historii się zaczyna...

Ks. Bogdan zatrzymał się na chwilę, przełknął łyk napoju i ciągnął dalej w ten sposób:

Wyobraź sobie, że ten brat, to był jego bliźniak. Podobni byli do siebie jak dwie krople wody. Od wielu już lat stracili kontakt ze sobą. Jeden nie wiedział o drugim niczego poza tym, że gdzieś tam przebywał. Odnaleźli się całkowicie przez przypadek na kilka dni przed święczeniami Bea. Było to tak: jedna z zakonnice, która знаła kandydata na księdza Bea, spotkała jego brata bliźniaka na lotnisku Ndjili w Kinshasie. Myśląc, że to Bea, podeszła do niego i mówi: „Jak tam przebiegają przygotowania do święceń? Zostało zaledwie kilka dni”. Tamten drugi nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. Wyobraź sobie jego zdziwienie! Aż wreszcie, od słowa do słowa, porozumieli się i wyszło na to,

że zakonnica pomyliła braci bliźniaków. Opowiedziała mu, że zna jego brata i że wkrótce zostanie wyświęcony na księdza. Oczywiście, obydwaj zainteresowani spotkali się i odnaleźli po latach rozłąki dzięki tej zakonnicy. Zresztą bliźniak księdza Bea też uczestniczył we mszy i wszyscy mogli naocznie stwierdzić, jak bardzo są do siebie podobni.

– A to ci dopiero historia! – wykrzyknął ks. Stano. Składam dzięki Panu Bogu za to, że raczył połączyć tych, którzy tak długo byli rozdzieleni. Ścieżki Boże są nie do wyśledzenia, a jego wyroki nie do przeniknięcia – dodał w pobożnym stylu.

– Co do tego to nie ma żadnych wątpliwości – odrzekł ks. Bogdan. – Ale słuchaj zakończenia, bo najlepszy dowcip jest, jak zwykle, na końcu. – Wal śmiało, nie krępuj się.

Ks. Bogdan ciągnął swoją opowieść w najlepsze. Ceremonia święceń przebiegała najzupełniej normalnie. Tak jak to jest w zwyczaju, kandydat do kapłaństwa wyciągnął się na posadzce twarzą do ziemi, podczas gdy chór śpiewał litanię do Wszystkich Świętych, potem nastąpiło namaszczenie olejem Krzyżma Świętego i wreszcie Bea nałożył stulę wokół szyi według zwyczaju kapłańskiego, a nie już jak diakon, to znaczy diagonalnie w poprzek piersi, gdzie stula schodzi z lewego ramienia ku prawemu barkowi i gdzie jest spięta. Na koniec celebracji pozwolono neoprezbiterowi, by wygłosił krótkie przemówienie, jak chce zwyczaj. Zrobił to zresztą bardzo dobrze, gdyż większość Afrykańczyków ma naturalny dar przemawiania publicznie. Lecz w owym momencie nastąpiło coś dziwnego. Oto Bea zwrócił się do biskupa, pytając, czy rzeczywiście jest pewien, że wyświęcił na księdza właściwego człowieka. Następnie poprosił do ołtarza swojego brata bliźniaka (podobnego do niego kropka w kropkę). Jeszcze raz zapytał biskupa, czy ma pewność, że namaścił na księdza tego kandydata, którego trzeba było. Jest przecież możliwe, że mógł się zamienić miejscami ze swoim bratem. Wyobraź sobie reakcję wiernych w kościele! Jaką to spowodowało wesołość i jaka była mina biskupa!

– No właśnie, jak zareagował biskup? – Ks. Stano też śmiał się na całe gardło.

– Miał kwaśną minę, ale co mógł powiedzieć w podobnych okolicznościach? Nie wyrzekł ani słowa: pozostawał skupiony, a na jego twarzy malował się tajemniczy uśmiech, zupełnie jak na twarzy anioła

we francuskiej katedrze w Reims. Pamiętasz rzeźbę tego anioła i jak się charakterystycznie uśmiecha?

– Tak, oczywiście. Ale pomijając anioła z Reims, uważam, że święcenia kapłańskie są zawsze dużym wydarzeniem i dostarczają niezapomnianych przeżyć temu, który je przyjmuje i całemu jego otoczeniu – zakończył ks. Stano z nutką melancholii w głosie.

– W Kinszasie też odbędą się wkrótce święcenia kapłańskie. Mam nadzieję, że nic ich nie zakłóci, choć sytuacja polityczna kraju jest aktualnie bardzo napięta. – Twarz ks. Bogdana nagle spochmurniała. – Myślę, że jesteś na bieżąco z wydarzeniami: akty rabunków stają się coraz powszechniejsze, a wyjście na ulicę w biały dzień staje się bardzo ryzykowne. Opozycja korzysta z choroby prezydenta Mobutu („Tatusia Marszałka”) i coraz bardziej podnosi głowę.

– Tak, wiem. Sytuacja jest niewesoła. Jak można w takich warunkach kontynuować studia? – ks. Stano też się zasmucił.

– Nasi seminarzyści są ciągle w zagrożeniu podczas ich codziennych podróży na wykłady u Oblatów czy w św. Augustynie.

– Miejmy nadzieję, że sytuacja jednak się ustakuje. Lecz sytuacja wcale się w Kinszasie nie statkowała. Wręcz przeciwnie. Księża Bogdan i Stano będą się mogli wkrótce o tym przekonać w sposób bardzo bolesny.

Tego samego wieczora obydwaj wyruszyli do centrum miasta, aby złożyć wizytę ich koledze, księdzu Andrzejowi Łuczakowi, który właśnie przyjechał z misji Itipo i miał za zadanie zainstalować się w Kinszasie i urządzić dom Zgromadzenia w dzielnicy Limete. Choć nic nie zapowiadało burzy, to jednak miała ona miejsce tego wieczora – i nie chodzi tu o burzę meteorologiczną. Trzej księża (Bogdan, Stano i Andrzej) rozmawiali spokojnie o wszystkim i o niczym w salonie domu na Limete, gdy nagle a niespodziewanie rozległy się strzały z broni maszynowej w sąsiedniej ulicy.

– Co się tam znowu dzieje, do licha jasnego? – zapytał Andrzej.

– Prawdopodobnie jeszcze jedna rewolta żołnierzy. Odnoszę wrażenie, że nie dostali żołdu na koniec miesiąca. To ich forma protestu. Chcą, by generałowie ich usłyszeli i wypłacili im pobory.

Rzeczywiście, za każdym razem, gdy następowało opóźnienie w comiesięcznej wypłacie dla żołnierzy, to wszczynali oni strzelaninę na ulicach stolicy. Zazwyczaj nie było to nic groźnego. Po prostu salwy na wiwat. Lecz tym razem sytuacja wyglądała poważnie. Strzelanina była gwałtowna i przedłużała się w nieskończoność. Nasi trzej księża stawali się coraz bardziej zaniepokojeni.

– Jeśli to będzie nadal tak trwało, nie podobna dotrzeć do seminarium przed nocą. Mamy przecież dobre dwadzieścia kilometrów do pokonania. Czy możemy prześlizgnąć się między kulami? – zapytał ks. Stano.

– Mam wrażenie, że nie pozostaje nam nic innego do roboty, jak tylko przenocować tutaj. Wewnątrz domu jesteśmy przynajmniej jako tako bezpieczni – odrzekł ks. Bogdan. – Niepokoję się tylko o seminarzystów w domu formacyjnym: pozostaną sami, bez naszej kurateli.

– Nie przejmuj się nimi, to duże chłopaki. Dadzą sobie świetnie radę bez nas.

Strzelanina i nastąpiła po niej rabunki trwały ponad 48 godzin. Przez cały ten czas nie było szans, żeby wystawić choć czubek nosa poza mieszkanie. Trzej dziełni księża byli zablokowani wewnątrz domu. Zaczęło brakować pożywienia. Na szczęście, zapasy ryżu i oleju były jeszcze spore. Lepsze to, niż nic. Najgorsze było pytanie, jak wypełnić wolny czas? Zwykle zajęcia typu: msza święta, brewiarz, porządkowanie domu szybko się kończyły. Pozostawało tylko (co jest rzeczą niezwykle rzadką w ich programie) grać w karty i słuchać muzyki. Najbardziej przypadła im do gustu melodia „Biały miś”. Może dlatego, że ich trudna sytuacja i nastroje były podobne do nastrojów misia z piosenki. Szczególnie ks. Andrzej ciężko znosił stres związany z hukami wybuchów i odgłosem serii z kałuszów.

W rezultacie zamieszki uspokoiły się nieco, więc księża Bogdan i Stano mogli powrócić na „święte wzgórze”, na Kimwenę. Po drodze próbowali kupić coś do jedzenia dla nich i dla seminarzystów, lecz miasto było tak złupione, że nic tego dnia nie znaleźli. Smutno było patrzeć na zniszczone otoczenie: porozbijane sklepy, potłuczone witryny, spalone samochody, domy jak po przejściu cyklonu.

– Jak można to wszystko racjonalnie wytłumaczyć? – zapytał ks. Bogdan. – Ludność rani sama siebie, niszcząc wszystko dookoła. Gdyby zobaczył to jakiś członek partii komunistycznej, to z pewno-

ścią powiedziałyby, że mamy tu do czynienia z zemstą ludu pracującego nad brzydkimi kapitalistami.

– Możliwe. Pytanie tylko, dlaczego „lud pracujący” niszczy wszystko, włącznie z własnością samego „ludu pracującego”? – zastanawiał się głośno ks. Stano.

– Ja myślę, że trzeba sobie raczej przypomnieć słowa z listu św. Jakuba, gdy mówi w związku z niesprawiedliwością społeczną: bogacze nie płacili pracownikom, żyli w skandalicznym luksusie i masakrowali ludzi (por. Jk 5,4-5). Oto jak zapłata ubogich krzyczy o pomstę do nieba – wyraził swoją opinię ks. Bogdan.

Życie odrodziło się jednak powoli w Kinszasie po tych rabunkach i po wielu innych następnych. Nadzieja na lepszą przyszłość zagościła w umyśle ks. Bogdana. Studia mogłyby więc być kontynuowane i w rezultacie seminarzyści doszliby do upragnionego dnia święceń kapłańskich i diakonatu. Lecz ks. Bogdan nie przewidywał, nawet w swoich najczarniejszych, koszmarnych snach, co zgotuje mu los w najbliższej przyszłości. Początek nastąpił w dniu, kiedy miał jechać na lotnisko Ndjili, aby przyjąć przybywających z Europy gości.

Pewnego pięknego dnia poproszono go, aby udał się na lotnisko przywitać konfratrów po urlopie. Nic nadzwyczajnego. Beniamin czynił to już nieraz. Wstał więc wcześniej rano (jeszcze przed wschodem słońca, jak Jozue (por. Joz 3,1.) i udał się w kierunku lotniska w towarzystwie jednego seminarzysty. Mrok spowijał jeszcze ziemię, ale pierwsze promyki słońca przebijały się już nieśmiało przez grubą warstwę ciemnych chmur. Poranek wstawał agresywny, jak wyrzuty sumienia. Aby dojechać do lotniska, ks. Bogdan i jego towarzysz podróży muszą pokonać około 40 kilometrów. Trzeba przejechać na ukos i przemierzyć niemal całe miasto. A miasto było rzucone na pastwę ognia i przemocy od kilku już godzin, o czym podróżnicy nie mogli wiedzieć, gdyż mieszkali na peryferiach. Jak na razie nic strasznego się nie działo: szosa była pusta, ruch uliczny prawie że nie istniał. To zaczęło trochę niepokoić Beniamina. Miał wrażenie, że ludność się chowa. Tylko przed kim lub przed czym? Wreszcie samochód Beniamina dotarł do dzielnicy zwanej chińską („China town”) z powodu niespotykanie wielkiej liczby mieszkańców. I tu właśnie piekło się zaczęło.

Niespodziewanie barykada zablokowała im drogę, stare opony płonęły pośrodku, uzbrojeni ludzie wyrastali jak spod ziemi. „No tak, znowu rozróżba” – pomyślał ks. Bogdan, robiąc wszystko, żeby ominąć barykadę. Brnął nadal do przodu. Zresztą było już za późno, żeby zawrócić. Trzeba kontynuować aż do lotniska. Rabusie uciekali na szczęście przed jego rozpędzonym jeepem „Toyota”. Samochód jechał do przodu wśród krzyków, strzałów z broni maszynowej i wśród chaosu nie do opisania. Na twarzy seminarzysty malowało się przerażenie. Ks. Bogdan zachowywał zimną krew. Wiedział, że musi panować nad nerwami, jeśli chce wyjść cało z opresji. Około kilometra od lotniska, zatrzymał go wojskowy patrol. Młody żołnierz mierzył do niego z kałasznikowa.

– Zgaś silnik! Do kogo należy ta drynda? – zapytał żołnierz bardzo groźnie.

Ks. Bogdan najspokojniej w świecie zgasił motor i odpowiedział bez zmruczenia okiem i z wielkim spokojem:

– Samochód jest mój, a jadę sobie na lotnisko, żeby przywitać kumpli.

Odpowiedź była bardzo jasna, ale żołnierz robił wrażenie, jakby nie dowierzał.

– Twoi kumple przylatują dziś rano?

– Tak, prosto z Europy. W każdej minucie mogą się tu pojawić.

Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Przepuść mnie! – opanowany i pewien siebie ks. Bogdan odpowiadał z typową brytyjską flegmą. Żołnierz przeegzaminował go od stóp do głów bardzo uważnie. Twarz miał bez wyrazu, bardzo skupioną. Wreszcie rzekł:

– Chwila, muszę pogadać z majorem.

„Co się tutaj wyprawia” – pomyślał ks. Bogdan. Powaga sytuacji jeszcze do niego nie dotarła. Major, o którym była mowa, wyszedł ze swojego jeepa i zaczął przyglądać się ks. Bogdanowi z niezwykłą starannością. Patrzył nie tylko na osobę, ale również szczególnie na jego samochód. „Ciekawe, czego chce ode mnie?” – pomyślał ks. Bogdan, cały czas rozglądając się wokół siebie. Nagle dostrzegł na horyzoncie samoloty wojskowe zbliżające się do lądowania. Na pewno nie były to samoloty wojsk zairskich dobrze mu znanych, gdyż były zbyt nowe i w zbyt dobrym stanie technicznym. To były po prostu samoloty należące do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. „A to ci heca, Francuzi

robią desant w stolicy Zairu!” – przemknęło przez myśl ks. Bogdanowi. W tym samym momencie inna myśl przeleciała mu lotem błyskawicy przez głowę, zwłaszcza że sobie uświadomił, iż jego samochód „Toyota” Land Cruiser koloru khaki do złudzenia przypomina jeep wojskowy. Ponadto on sam ma na sobie brunatną kurtkę ze skóry (rodzaj wojskowej oficerki), którą ofiarował mu swego czasu jego ojciec podczas ostatniego urlopu we Wrocławiu. Na dobitkę ta ciemna broda i potężny wzrost...

Wreszcie człowiek, którego ks. Bogdan nazwał w duchu „pokręconym pajacem”, dał znać, że mogą przejechać. Ks. Bogdan odpalił samochód i podążył w kierunku pobliskiego lotniska. Cały czas gorączkowo myślał: „Oni po prostu mnie wzięli za oficera Legii Cudzoziemskiej, który jedzie na lotnisko przywitać swoich ‘kumpli’. I faktycznie, samolot legionistów w tym właśnie momencie dotyka płyty lotniska”.

Nie mylił się. Legioniści wyskakiwali z samolotów, jak na ćwiczeniach desantu. A „pokręcony pajac” był po prostu członkiem sztabu generała Mahele, który miał za zadanie zapewnić bezpieczeństwo lotniska podczas rozruchów i grabieży. Tylko, że port lotniczy znajdował się w oplakanyim stanie. Ks. Bogdan właśnie do niego dotarł i... przecierał oczy ze zdziwienia. Pusto, ani żywego ducha. Wszystko porozwalane, wszędzie zgliszcza, tylko mury się ostały (i to w kiepskim stanie). Znać, że rabusie już tędy przeszli.

– Wpadliśmy w niezły pasztet – zwrócił się ks. Bogdan do towarzyszącego mu seminarzysty. – Żaden konfrater dzisiaj tu nie przyjeżdżie. Nie ma sensu czekać. Lepiej stąd spadajmy, jak tylko da się najszybciej, bo jeśli nie, to legioniści, którzy właśnie rozwijają szyki na płycie lotniska, wskoczą nam na plecy.

Ks. Bogdan uświadomił sobie nareszcie, że sytuacja jest poważna. W całym mieście rozróża idzie na całego, on sam wraz ze swoim seminarzystą wpadł między dwa ognie: z jednej strony Legia Cudzoziemska, z drugiej ludzie generała Mahele dowodzeni przez „pokręconego pajaca”. Trzeba uciekać! Tylko gdzie? Jest! Znalazł wyjście. Przypomniawszy sobie, że niedaleko stąd w kierunku wschodnim, w miejscowości Nsele, znajduje się jedna z letnich rezydencji prezydenta Mobutu. Tam można się schronić i przeczekać aż do zakończenia zamieszek. Ponadto, w pobliżu jest obóz wojskowy – to gwarancja bez-

pieczeństwa. Beniamin ruszył w kierunku wschodnim, zostawiając miasto i zamieszki daleko z tyłu. Droga była tu bardzo dobra, asfaltowa. Po kilku kilometrach jazdy, trafili znowu na żołnierza. Miał na głowie czerwony beret, kałasznikowa na pasku jak zwykle i dał znak, żeby się zatrzymali.

– Co nowego słyhać w mieście? – głos żołnierza był spokojny i przyjemny. Lecz po wyglądzie twarzy widać, że dokładnie wiedział, co się święci w Kinszasie.

– W mieście panuje rewolta – odpowiedział ks. Bogdan.

„Czerwony beret” miał świeżo odprasowany mundur, błyszczącego od smaru kałasza i dopiero co wypastowane buty-oficerki. Ponadto ks. Bogdan zauważył następujący napis na piersi tuż nad lewą kieszonką munduru „czerwonego beretu”: לארשי . „A to ci dopiero! Oto mamy przed nami jednego z obstawy osobistej Mobutu, wytrenowanego przez instruktorów żydowskich”. Ks. Bogdan przypomniał sobie nagle kursy w seminarium na Stradomiu w Krakowie z języka hebrajskiego. Zaś napis na mundurze żołnierza oznaczał ni mniej, ni więcej tylko „Izrael”. „No to brniemy coraz bardziej” – pomyślał ks. Bogdan. „Obecnie znajdujemy się wciśnięci pomiędzy francuskimi legionistami z jednej strony, żołnierzami «pokręconego pajaca» z drugiej i gorylami Mobutu wyszkolonymi w Izraelu. Cóż za gips!” Ks. Bogdan zaczął poważnie się niepokoić.

– Jeśli tak się sprawa przedstawia, to schrońcie się w obozie wojskowym. Tam będziecie spokojni. A potem zobaczymy – zakończył „czerwony beret”, co bardzo odpowiadało ks. Bogdanowi. Nareszcie będzie można trochę odsapnąć.

Czas płynął wolno w obozie wojskowym w Nsele. Liczni żołnierze dokonywali porannej odprawy wraz ze swoimi dowódcami, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie działo w mieście. Widać było jednak, że na coś czekają. Tylko na co?

Przez wiele godzin ks. Bogdan i seminarzysta nie ruszali się z miejsca. Dochodziło południe i zaczęli być głodni. W pewnym momencie, pojawił się oficer armii Mobutu i bez żenady rzekł:

– Wsiadajcie do waszej bryki, znikamy stąd.

– Jak to znikamy? I gdzie znikamy? – zapytał ks. Bogdan.

– To proste. Zamieszki się już skończyły, miasto jest znowu pod kontrolą wojska, wszędzie cisza i spokój. Możecie wracać do domu, ja was będę eskortował, gdyby co do czego...

– Jeśli tak, to świetnie. Ruszamy!

Oficer zarepetował swój karabin maszynowy i usadowił się na przednim siedzeniu od strony pasażera. Ks. Bogdan przypuszczał, że cała ta dzisiejsza awantura dobrze się zakończy, gdyż mieć do eskorty żołnierza (i to jeszcze oficera) napawało otuchą. Za godzinkę dojadą do seminarium na Kimwenzie i będą bezpieczni u siebie. Jakże bardzo się mylił! Następne sześć godzin miało mu to uświadomić. Przede wszystkim zamieszki w mieście wcale się jeszcze nie skończyły. Oficer po prostu kłamał. Chciał bowiem osobiście uczestniczyć w rabunkach, aby w ten sposób się wzbogacić. Ks. Bogdan szybko to zrozumiał, ale nie mógł nic zrobić, był bezradny. Gdy jego jeep wpadł ponownie w sam środek zamieszek, nie było mowy o tym, żeby zawrócić. Tak jak poprzednio, trzeba było jechać do przodu prosto przed siebie, roztrzając rozwydrzony tłum. Oficer wystawił swojego kałusza przez okno z boku i zaczął strzelać w powietrze, aby wystraszyć otaczających ich rabusiów i utorować drogę samochodowi. Ks. Bogdan jechał czasem po prawej stronie drogi, czasem po lewej (na modłę brytyjską), czasami wprost po chodniku; robił wszystko, żeby ominąć liczne barykady i pieszych, którzy pojawiali mu się nagle przed maską samochodu, lub wręcz omijał inne szalone pojazdy, jadące pod prąd. Za każdym razem, gdy przyhamował, jacyś awanturnicy wskakiwali mu z tyłu do jeepa i sadowili się na tylnych siedzeniach; piwo lało się strumieniami (nawiasem mówiąc, skąd ono się wzięło w jego samochodzie?) i wszyscy świetnie się bawili z oficerem na czele. Gdy trzeba było się zatrzymać na chwilę z powodu blokady, nieproszeni goście z tyłu samochodu wyskakiwali i pod dowództwem żołnierza rabowali, co się dało, a następnie wracali do samochodu wyjąc z radości. Całe miasto szalało. I żołnierze, i cywile kradli, rabowali, strzelali na wiwat, ryczeli w niebogłosy. Szaleńcza jazda samochodem trwała już kilka godzin. Wokół wiele osób krwawiło, zranieni przy wyrównywaniu rachunków lub przez przypadek. Sytuacja stała się niezwykle niebezpieczna, zwłaszcza dla obcokrajowca takiego jak ks. Bogdan pośrodku oszalałego tłumu. W każdej chwili mógł zostać ranny on

sam lub też dostać zabląkaną kulę. To co odstraszało jednak potencjalnych napastników, to ciemnozielony kolor khaki samochodu ks. Bogdana i jego olbrzymia postać. Miał jeszcze jeden znaczny atut w rękawie: swoją zimną krew. Ani przez chwilę nie spanikował: skoncentrowany, trzeźwo myślący, panował nad sytuacją, która prawdę mówiąc była ekstremalnie niebezpieczna, wręcz wybuchowa. Przewodził swój samochód niczym bohater amerykańskich filmów z „Dzielnego Zachodu”, słynny cowboy: pośród wściekło-złowrogich okrzyków, pod gradem kul, ogłuszony hukami wystrzałów z koltów. Przez pewien czas ks. Bogdan sam myślał, że jest cowboym, nowym Johnem Wayne, który, wbrew przeciwnościom otoczenia, zawsze zwycięża dzięki swojej determinacji i prawości charakteru (nie mówiąc już o sile fizycznej). Powoli, ale stanowczo, ks. Bogdan zbliżał swojego metalowego rumaka do miejsca w centrum miasta nazywanego „échangeur” (wymieniacz) tak, aby nagle i gwałtownie skręcić i znaleźć się w pobliżu klasztoru Sióstr Miłosierdzia. „Tutaj nic nam już nie grozi” – pomyślał ks. Bogdan i, w niespodziewany dla wszystkich sposób, zajechał na dziedziniec przed domem zakonnicy.

– Koniec podróży! Wszyscy wynocha z samochodu! – wykrzyknął ks. Bogdan, chowając do kieszeni kluczyki od stacyjki.

Lecz oficer i jego przypadkowi kołesie-rabusie nie byli wcale zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Pragnęli kontynuować tę szaleńczą szarżę, aby zdobyć jeszcze więcej łupów, lecz ks. Bogdan pozostał nieugięty. Nie było mowy, żeby jechać dalej! Zaczęła się kłótnia. Na szczęście, jedna z zakonnicy (przełożona domu) wyszła na dziedziniec i ofiarowała oficerowi i każdemu z pozostałych drabów puszkę sardynek. Bardzo ich to udobruchało i odeszli (acz niechętnie), każdy w swoją stronę. Wielu z nich kontynuowało swój nieczyny proceder, ale tym razem pieszo.

– Panie Boże, dziękuję Ci, że nade mną czuwałeś przez cały ten czas, bo ryzykowałem rzeczywiście wiele. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy – westchnął ks. Bogdan, gdy w kilka chwil potem znalazł się sam na sam z Najświętszym Sakramentem w domowej kaplicy zakonnicy.

Z powodu awantury stracił rachubę czasu, nie zdawał sobie nawet sprawy z upływających godzin, a było już późno po południu. Oczywiście było także, że trzeba wrócić jeszcze dziś na „święte wzgórze”,

ale jak to zrobić? Zamieszki toczyły się w najlepsze za murami klasztoru. Dopiero pod wieczór, tuż przed zachodem słońca, mógł prześlizgnąć się przez miasto w szale i wrócić na Kimwenzę. Był wyczerpany, ale szczęśliwy, gdy się dowiedział, że seminarzyści nie ucierpieli pod jego nieobecność.

– Słuchaj, Stano: czy jest w ogóle możliwe, żeby prowadzić normalne życie w tym nienormalnym mieście? To, czego dzisiaj doświadczyłem, graniczy z kompletnym szaleństwem! Tak nie można dalej ciągnąć! Zadaję sobie następujące pytania: Jak ten scholastykat będzie dalej funkcjonował? W jaki sposób seminarzyści mogą studiować pośrodku kompletnie idiotycznego miasta? Czy kiedyś w ogóle dotrą do kapłaństwa? I po co to komu, w jakim celu? Żeby znowu fabrykować chrześcijan, którzy bezmyślnie będą niszczyć wsie i miasta podobne do tego? Wyboraż sobie, że 70% mieszkańców Kinszaszy to chrześcijanie.

Nieprzerwany ciąg słów i pytań płynął z ust Beniamina, jak tylko zobaczył swojego przyjaciela, księdza Stano.

Ale czy rozróżba może trwać w nieskończoność? Powoli miasto się uspokajało. Po wielu tygodniach sytuacja znowu stała się plus minus normalna. Wszczęto też na nowo studia filozofii i teologii. W sercach wielu ludzi Kościoła zabłysła na nowo nadzieja na ujrzenie dnia święceń kapłańskich w Kinszasie.

Pewnego dnia ks. Beniamin i Stano zostali poinformowani, że dwaj zairscy formatorzy, przygotowujący się w Rzymie do przejęcia pałeczki w sztafecie, są nareszcie gotowi. Formacja rodzimej młodzieży będzie teraz spoczywać w ich własnych rękach.

Ks. Bogdan i Stano zostali przeniesieni do innych misji nad brzegiem rzeki Zair, w kolejności do Bolobo i Irebu. Odtąd czeka ich tam nowe zadanie. Gdy ks. Bogdan się o tym dowiedział, to rzekł po prostu:

– Oto nowy projekt przede mną – kierować wielką misją nad wielką rzeką. Jest to projekt trudny, wymagający wielu znacznych wysiłków, tytaniczny projekt, rzekłbym, lecz jestem pewien, że to **bardzo piękny projekt**.

Ks. Bogusław Mordal CM

✧ Z DZIAŁALNOŚCI KÓŁ MISYJNYCH ✧



Kochani Przyjaciele!

Nie wiem ile macie lat, ewentualnie ile masz lat. Ale powiedz, czy potrzebujesz pomocy? Ja mam 9 lat. Dnia 12 maja 2013 r. przystąpiłam do Pierwszej Komunii Świętej. Czy u Ciebie też są kościoły? Czy u Ciebie też są uroczystości przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej? Kiedyś do Ciebie przyjadę, obiecuję Ci to, tylko zapamiętaj moje imię, mam na imię Zuzia, a na nazwisko Bogusławska.

Wiesz co, język polski...? A no tak, zapomniałam Ci napisać, że jestem z Polski. Dobrze, mogę dokończyć, język polski jest trudny, dlatego jeśli nie wszystko zrozumiesz, to się nie przejmuj. Na drugiej stronie spróbuję sobie Ciebie wyobrazić, zajrzyj na nią!

Zuzia Bogusławska

PAPIESKIE INTENCJE MISYJNE W ROKU 2013

LIPIEC: Aby na całym kontynencie azjatyckim otwierały się drzwi przed posłańcami Ewangelii.

SIERPIEŃ: Aby Kościoły partykularne kontynentu afrykańskiego, wierne przesłaniu ewangelicznemu, przyczyniały się do budowania pokoju i sprawiedliwości.

WRZESIEŃ: Aby chrześcijanie, którzy cierpią prześladowania w licznych regionach świata, mogli być dzięki swojemu świadectwu prorokami miłości Chrystusa.

Od redakcji: Po raz kolejny na łamach numeru „Wiadomości Misyjnych” żegnamy misjonarza, ks. Stanisława Szczepanika, który wyrusza do pracy wśród naszych Przyjaciół na misji za granicą. Z całego serca pragniemy Mu podziękować za pracę, dobro, pogodę ducha i ciepło swego serca, jakimi dzielił się tutaj z nami. Zapewniamy także, że będziemy Go wspierać w trudnej pracy misyjnej. Bóg zapłać!



Od lewej: kl. Jacek Międlar, ks. Stanisław Szczepanik, kl. Kamil Wilk, Agata Gruzła, br. Adam Budzyna



PODZIĘKOWANIE

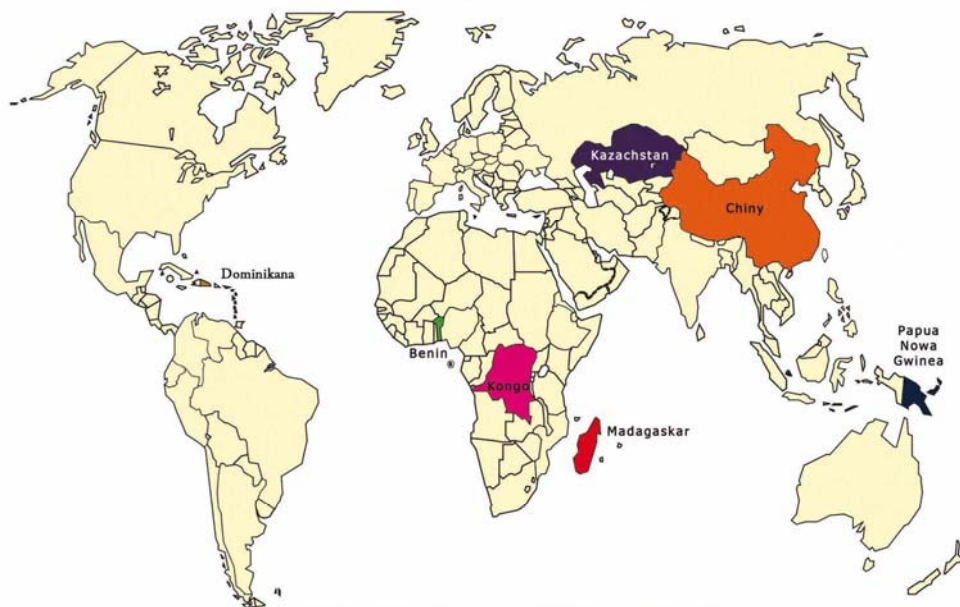
Dzięki Waszej pomocy zrealizowaliśmy pierwszy etap projektu wsparcia młodzieży na polu edukacyjnym, kulturalnym i religijnym. W każdą niedzielę w godzinach od 19.00 do 21.00 chętni mają możliwość obejrzenia filmu promującego chrześcijańskie wartości oraz dającego możliwość pogłębienia znajomości świata. Na uwagę zasługuje fakt, że wśród widzów nie brak także dorosłych. Zainteresowanie ze strony dzieci było tak duże, że postanowiliśmy wyświetlać także filmy zrozumiałe dla dzieci. Z uwagą obserwujemy rozwój tego skromnego dzieła, aby w przyszłości przejść do następnego etapu: wybudowanie sali, w której moglibyśmy prowadzić dyskusje na tematy poruszane przez wyświetlane filmy. Projekcje odbywają się na zewnątrz, a ekranem jest ściana naszego budynku misyjnego. Ma to swoisty urok i zachęca do uczestniczenia wszystkich bez brania pod uwagę jakiej religii jest się wyznawcą, czy jak się jest ubranym itp.

Dyrektorowi Sekretariatu Misyjnego, Redakcji Wiadomości Misyjnych i Wszystkim, dzięki którym mogliśmy rozpocząć realizację drogiego naszym sercom projektu, składamy serdeczne Bóg zapłać. Prosimy Boga, aby błogosławił naszemu dziełu i Tym wszystkim, którzy nas wsparli modlitwą i ofiarą. Szczęść Boże.

Ks. Stanisław i Ks. Rafał

Bóg zapłać!

Misjonarze Polskiej Prowincji na misjach



Benin

ks. Stanisław Deszcz
ks. Rafał Brukarczyk

Kazachstan

ks. Maciej Mech
ks. Paweł Kucharski
ks. Leszek Smakosz

Kongo

ks. Stefan Kosek

Dominikana

ks. Stanisław
Szczepanik

Papua Nowa Gwinea

ks. Włodzimierz
Małota

Madagaskar

ks. Kazimierz Bukowiec
ks. Józef Klatka
ks. Witold Oparcik
ks. Marek Maszkowski
ks. Marcin Wiśniewski

Chiny

ks. Paweł Wierzbicki